



Ryszard Bartoszewicz

część II z II

Sygnatura notacji: **N0528**

Data urodzenia: **27.10.1935 r.**

Data nagrania: **31.08.2023 r.**

Miejsce nagrania: **dom świadka, Gdynia, Polska**

Prowadząca/y rozmowę: **Artur Kłus**

Czas nagrania: **część I: 55 min, część II: 52 min**

Format nagrania: **video**

Język nagrania: **polski**



TRANSKRYPCJA



INSTYTUT
PAMIĘCI
NARODOWEJ

[00:00:00 POCZĄTEK NAGRANIA]

Ryszard Bartoszewicz: Całe moje dorosłe życie planowałem wyjazd do kołchozu, żeby trafić na miejsca, w których człowiek tych kilka lat przebywał. Do dnia dzisiejszego pamiętam jeszcze swoich kolegów, taki Kola Kasicki, Wania Dugin, to byli moi koledzy Rosjanie, z którymi, mówiąc szczerze, przez swoje zaniedbanie utraciłem kontakt. Bo można było korespondować, ale człowiek był zadowolony, że wrócił do kraju i skończyła się katorga. Z perspektywy lat inaczej się ocenia ten okres, bo jako sześciolatek dziecko, kiedy wywożono mnie, a wróciłem jedenasto-, dwunasto- prawie letni, inaczej się patrzy na wiele spraw niż w wieku dorosłym. Dzisiaj, jeżeli się wspomina na temat wywózki na Syberię, która rozpoczęła się 10 lutego 1940 roku, to była pierwsza ta partia, którą bolszewicy wywozili, późniejsza w kwietniu 1940 roku. Byliśmy w 1941 roku ostatnią chyba grupą, która została wywieziona, bo już w trakcie wojny to zupełnie co innego było. Uważam, że odpowiednie ogniwa w Rzeczypospolitej powinny dużo uwagi poświęcać nauce historii, bo z niej wypływa to, co jutro nas może spotkać, albo to, czym się powinniśmy zajmować. Chciałbym dodać, że rejon, w którym przebywaliśmy, to znaczy rejon Abakanu i tej miejscowości Nowokursk, można ją namierzyć z satelity. Ja często zaglądam i widzę, że rejon tego kołchozu jest inny niż... rejon obecnie jest inny niż w roku 1941 czy 1946. Najprawdopodobniej dzięki temu, że w tym ośrodku maszynowym, do którego jeździłem z wujkiem Henrykiem, tam rozpoczęto budowę miasta, dzisiaj nazwa tego miasta to jest Sajanogorsk, od gór Sajan. Więc to miasto zostało zbudowane razem z hydroelektrownią. Olbrzymia tama wysokości ponad 220 metrów i ze zbiornikiem wodnym rozciągającym się na setki kilometrów. Więc rejon zmienił się niesamowicie. Być może, że te 12 km, które dzieliło nas, to znaczy kołchoz, od tego górnego Jeniseju, zostało zagospodarowane. Trudno powiedzieć. Kilka lat wstecz nadarzyła się okazja, żeby tam pojechać. Będąc w Augustowie, rozmawiając z rodziną, dowiedziałem się, że w Abakanie znajduje się ks. Krzysztof Karbowski, znajomy mojej rodziny pochodzący z Augustowa. Jest proboszczem w Abakanie,

to znaczy był w tym czasie proboszczem w Abakanie. Zadzwoiłem do rodziny, rozmawiałem z księdzem. I przyjechał ksiądz do mojej siostry, która mieszkała w Augustowie, bo już zmarła. I okazało się, że ten ks. Karbowski przebywa na urlopie i ma zamiar wracać do Abakanu. I gdybym wiedział, że te stosunki z Rosjanami zdecydowanie się zmienią na niekorzyść, tak jak to dzisiaj wygląda, to być może miałbym więcej zapać, żeby dążyć do tego wyjazdu. Wówczas nie skorzystałem i ta okazja przeszła. Więc kilka słów na temat parafii w Abakanie. O ile moja pamięć nie zawodzi, to twierdę, że nikt tam z Polaków żywy nie pozostał. Wszyscy wyjechaliśmy w 1946 roku albo w późniejszym okresie. Natomiast parafia rzymskokatolicka reaktywowana przez bp. Mazura to jest dla Polonii, która została wywieziona przez Stalina po podpisaniu Traktatu Ryskiego w 1921 roku po zakończeniu wojny polsko-bolszewickiej. Bo z tego wynika, że część terenów dawnej Rzeczypospolitej nie wróciła do Rzeczypospolitej, a została wcielona do Związku Radzieckiego i Stalin 1,5-milionową rzeszę Polaków, to znaczy obywateli polskich, bo to byli i Ukraińcy, i Białorusini, i Litwini, zostali wywiezieni na daleki Wschód. I tam pozostali potomkowie. Ci ludzie już nie rozmawiali po polsku, ale czuli ducha polskiego i dla nich ta parafia została reaktywowana. Tak że nie korzystając z pomocy ks. Karbowskiego, nie odwiedziłem Abakanu, nie pojechałem do kołchozu, tak że nie zrealizowałem swoich marzeń, o których ciągle mi w sercu dzwoni. I najprawdopodobniej to jest już niemożliwe, bo mój wiek na to nie pozwala i stan zdrowia. Więc jak wspominałem, że stosunek władzy radzieckiej do Polaków wywiezionych na Syberię był wrogi. Wydawałoby się, że po powrocie do kraju w 1946 roku przywiezionych z Syberii deportowanych obywateli polskich władza polska potraktuje jakoś życzliwie. Zdarzały się przypadki, że nasze UB zachowywało się podobnie jak NKWD radzieckie. Kilka razy byłem wzywany w Augustowie do Urzędu Bezpieczeństwa na pewnego rodzaju spowiedź, gdzie spędziłem okupację, dlaczego wywieziono, jak tam było, co i jak itd., itd. Oczywiście trzeba było kłamać, bo wystarczyło powiedzieć prawdę, a człowiek by za przeproszeniem znalazł się na liście albo do wywózki, albo na jakiegoś tajnego współpracownika. Takimi pytaniami najprawdopodobniej chciano znaleźć jakiegoś haka, żeby móc później szantażować. I tak trwało przez kilka pięknych lat. Tak że różnie to można było oceniać zachowanie Rzeczypospolitej po wyzwoleniu. Na te tematy nie rozmawiało się z obcymi, nawet z bliskimi znajomymi, bo wiadomo było, czym to może grozić. Tak że też należałoby o tym wspominać i brać jako przykład.

Artur Kłus: Panie Ryszardzie, zapytam się tak: Czy będąc bardzo młodym dzieckiem, czy jakiegokolwiek wspomnienia Pan ma, jeżeli chodzi o Polskę sprzed wybuchu wojny?

Ryszard Bartoszewicz: Sprzed wybuchu wojny pamiętam rok 1937. Nie, przepraszam, nie 1937, tylko... Rok 1939, kiedy dziadek przyjechał do Raczek, gdzie mieszkaliśmy, i zabierał nas do siebie po wybuchu wojny polsko-niemieckiej.

Artur Kłus: Gdzie dokładnie to się mieściło?

Ryszard Bartoszewicz: Więc to mieściło się, więc mieszkaliśmy, jak wspominałem, w miejscowości Raczki, nieduże miasteczko między Augustowem a Suwałkami. Tam rodzice prowadzili swój zakład krawiecko-tekstylny. Więc pamiętam, że przejeżdżaliśmy przez tereny, które były ogarnięte pożarami, bo taki jeden fragment utkwił mi w pamięci w tym czasie, kiedy przewoził nas dziadek. To był 1939 rok. I później okres tego wywożenia, okres aresztowania tych wujków, o których wspominałem. I pamiętam moją radość z wywózki na Syberię, jak enkawudzista powiedział, żeby brać piłę, siekierę, więc uważałem, że ja będę drwalem na Syberii, więc to sprawiało mi radość, nie zdając sobie

z tego sprawę, co rzeczywiście czeka.

Artur Kłus: Ja, Panie Ryszardzie, prosiłbym, żeby Pan odpowiedział, co to jest za zdjęcie, z którego roku. I co ono przedstawia.

Ryszard Bartoszewicz: Więc zdjęcie, które tutaj prezentuję, to jest zrobione przed budynkiem sklepu i zakładu krawieckiego moich rodziców w miejscowości Raczki. Zdjęcie zrobione w 1937 roku po śmierci ojca. Na zdjęciu tym widoczna jest mama, na kolanach ja siedzę, obok stoi siostra Lucyna starsza o 2 lata. Obok siostry niania nasza, która nami się opiekowała. A obok stoi mężczyzna, wujek Zygmunt, młodszy brat mamy, który przeżył aresztowanie w Zarządzie Kanałowym w 1941 roku. Chciałbym jeszcze dodać, że ten wujek Zygmunt po powrocie z Zarządu Kanałowego, kiedy uratował się z życiem, został powtórnie aresztowany w 1945 r. przez NKWD radzieckie i polskie w ramach tzw. Operacji Augustowskiej. Ale uszedł z życiem w 1945 roku. Więc władza radziecka miała sporządzone listy tych wszystkich, których podejrzewano o jakąś współpracę z ich wrogami, współpracę z patriotycznymi organizacjami polskimi, w których widziano zagrożenie. Zwłaszcza dotyczy to ludzi zamożnych, inteligencji, leśników. Zresztą ta sprawa jest znana, kogo wywożono, w którym roku i z jakiego powodu.

Artur Kłus: Panie Ryszardzie, poprosiłbym, jeżeli mógłby Pan, jeżeli Pan pamięta, jeszcze jakieś elementy samej podróży – ile ona trwała, jak było z żywnością, jak się zachowywali ludzie w tym transporcie.

Ryszard Bartoszewicz: Więc sama podróż na Syberię rozpoczęła się, jak wspominałem, 22 czerwca 1941 r. wyjazdem z Augustowa przez Grodno, Mińsk, Smoleńsk i po początkowych okresach bombardowania przez Niemców, później mieliśmy z tej strony spokój. Wiedzieliśmy o tym, że podróż potrwa dosyć długo, bo nie znaliśmy kierunku i nie wiedzieliśmy, dokąd nas wiozą. Więc jeszcze w Augustowie będąc, na stacji, poczyniono pewnego rodzaju starania o zabezpieczenie się w żywność. Podczas podróży dopiero później dawano nam wodę albo źle zaparzoną kawę zbożową, a zdarzały się przypadki jakiegoś chleba. Generalnie rzecz biorąc, każdy liczył na przetrwanie. Rosjanie też były przypadki, że przychodzili na dworzec, wiedząc o tym, że transport będzie przejeżdżał, i też wspomagano, ale to dotyczy oczywiście normalnej tej społeczności, a nie władzy. Podróż zakończyliśmy w granicach połowy lipca, to znaczy od 22 czerwca do połowy lipca wieziono. To, ile to mogło być? Trasa, jaką pokonaliśmy w tym czasie, to w granicach ponad 6 tys. kilometrów, bo to Abakan w takiej odległości jest oddalony.

Artur Kłus: Ludzi, których Pan spotkał podczas tego transportu, jak się zachowywali inni, którzy też w tę samą stronę tym transportem podróżowali?

Ryszard Bartoszewicz: No więc wagony były przepelnione, ścisk, tłok. Zaryglowane drzwi, nie można było otworzyć, dwa nieduże okienka, tak jak w wagonach transportowych do przewożenia bydła. I w takich warunkach wożono, przewożono. Ale w odróżnieniu od pierwszej grupy, która została deportowana w lutym 1940 r., to i tak warunki były niewspółmierne. Temperatura była wysoka, więc brak było przede wszystkim w czasie podróży wody, którą dzielono. Więc trzeba było tylko tę wodę otrzymywaną od czasu do czasu przeznaczać do użytku na spożycie,

Nie mówiąc o tym, żeby można było się umyć czy odświeżyć. I tak trwało przez cały czas, aż do końca podróży.

Artur Kłus: Jeszcze chciałbym teraz wrócić do samego kołchozu. Jakby Pan opisał izbę – tam, gdzie mieszkaliście, jak ona wyglądała?

Ryszard Bartoszewicz: Więc to było mieszkanie kołchoźnika, w takich tylko nas, jedna izba i wszyscy w jednej izbie. Budynek był drewniany, wybudowany na wysokich takich palach, z tego względu, że w okresie zimy śniegu padało metr, półtora metra, więc byłyby zasypywane wejścia do tych pomieszczeń. Zdarzały się przypadki burz śnieżnych w okresie zimy, zwłaszcza w miesiącu lutym, marcu, bo już pod koniec marca ta zima przestała tak dokuczać. Więc w czasie tych burz śnieżnych były tak obfite opady śniegu, że całe te budynki były zasypywane, tak że było trzeba od środka przekopywać się, żeby wyjść na zewnątrz, inaczej trudno było przebić się. I tak to trwało przez okres zimy, więc w odróżnieniu od naszego klimatu, to jeżeli rozpoczynała się zima pod koniec września czy na początku października, to gwałtownie i trwało to do końca marca.

Artur Kłus: Jacy członkowie rodziny byli...

Ryszard Bartoszewicz: Wywiezieni. Więc moja rodzina wywieziona do kołchozu składała się z 8 osób. Dziadek, jak wspominałem, urodzony chyba w 1873 roku, tak przynajmniej wynika z poszczególnych dat. Jego żona, to znaczy babcia, ale to była druga żona dziadka, bo pierwsza żona zmarła. Następnie ciotka Wanda, urodzona chyba w 1924 roku, następnie ciotka... Nie, wujek Henryk, urodzony w 1926 roku, następnie ciotka Anastazja, urodzona w 1929 roku. Więc ile to było? Pięć chyba osób. Dziadek, babcia, Wanda, Henryk, Tadzia, później moja mama, urodzona w 1906 roku, moja siostra w 1933 roku i ja. To osiem osób.

Artur Kłus: A wspominał Pan, że babcia zmarła.

Ryszard Bartoszewicz: A babcia zmarła.

Artur Kłus: Jaki był powód? Dlaczego zmarła?

– Jakiś atak choroby. Trudno mi jest powiedzieć, czy była wywieziona już z chorobą i tam dokończyła życia, czy też jakiś przypadek zatrucia, bo to nie było trudno o to. Tak że nie można było uratować, bo jak wspominałem, pomoc lekarska nie była możliwa. Najbliższy lekarz to w Abakanie i to nie wiadomo, w jaki sposób korzystać było z tej pomocy.

Artur Kłus: A jak wyglądała taka codzienność? O której się wstawało? Rytm dnia jak wyglądał?

Ryszard Bartoszewicz: Rytm dnia. Więc dorośli pracowali w kołchozie na stepie. Więc rozpoczęło się oczywiście rano, a praca kończyła się po południu, wieczorem w wielu wypadkach, w zależności od okresu. Natomiast ja z siostrą, jak chodziliśmy do szkoły, no to wiadomo było, trzeba było zdążyć na te lekcje, mimo że to szkoła rosyjska, bo polskiej nie było. I tak to było przez 1944, 1945 i część 1946 roku. Na zakończenie chciałem tutaj powiedzieć, że dostaliśmy

zaświadczenia od dyrektorki szkoły. Zaświadczenia miały potwierdzać, że byliśmy uczniami drugiej klasy ja i trzeciej klasy siostra. I po powrocie do kraju mieliśmy prawo uczęszczać do odpowiedniej klasy wyżej. A faktycznie w Polsce po powrocie w kwietniu 1946 roku poszliśmy do polskiej szkoły, ja do pierwszej klasy. To był, zaznaczam, kwiecień 1946 rok. Więc chodziłem do polskiej szkoły przez resztę kwietnia i część maja. Więc pamiętam, że wzbudzały gromki śmiech próby pokazania, czym ja dysponuję, co ja potrafię napisać. Na przykład nauczycielka wezwała mnie do tablicy i pyta: „Ryszard, co ty potrafisz napisać? Co umiesz?” No to mówię: „Mama”. „No to napisz”. No więc pisałem „mama” w taki sposób rosyjski. Więc pierwsze M duże, takie jak M duże, A normalne, a drugie M też takie samo jak duże, tylko mniejsze. No oczywiście dla polskich dzieci było to śmieszne, bo przecież polskie małe M jest inne niż rosyjskie. I w maju dostałem promocję do klasy drugiej. Oczywiście trzeba było poznać alfabet i nauczyć się w miarę jakiegoś czytania. I w ramach zakończenia w czerwcu roku szkolnego dostałem promocję do klasy trzeciej. Siostra oczywiście o rok starsza w tej edukacji. Ale za to z matematyki to ja byłem tym, który pomagał polskiej dzieciarni, bo matematyka się niczym nie różniła. A uczyli dosyć dobrze w rosyjskiej szkole. A później to już normalnie, rok po roku, rok po roku. Ale to niestety pozostało. Pozostały ślady tego pobytu w rosyjskiej szkole.

Artur Kłus: A jak Pan pamięta, był Pan młodym chłopcem w kołchozie, takie kontakty z rówieśnikami, jakieś zabawy, czym się zajmowały dzieci, tak, w czasie tego zesłania?

Ryszard Bartoszewicz: Więc między polską młodzieżą, a było nas w sumie chyba 8 czy 10 sztuk, bo w innych rodzinach, nie – przesadzam, może 5 osób, 6 polskich dzieci. Utrzymywaliśmy normalny kontakt z Rosjanami, więc oni traktowali nas jako swoich rówieśników, więc ja wspominałem dzisiaj, że pamiętam nazwiska i imiona dwóch swoich kolegów: Kola Kasicki i Wania Dugin – to byli koledzy z klasy. Życzliwi. Tak jak wśród to dzieci powstała taka przyjaźń. I normalnie w klasie nie było wrogości ze strony dzieci rosyjskich do polskich. Negatywnie tylko odnosiła się ta władza polityczna. Ja chyba nie wspominałem, że nasz wyjazd do Polski w 46 r. był pod znakiem zapytania, był zagrożony. Władza polityczna i administracyjna wystawiły rachunek dla nas, dla polskich rodzin, za pobyt, za opiekę, za wszystko, czego według nich doświadczyliśmy w kołchozie. W naszym przypadku to było ponad 1000 rubli i trzeba było zapłacić, więc z tego tytułu powstał problem, ale rozwiązany był chyba przez Związek Patriotów Polskich, bo ta sprawa poszła kanałami jakimiś i wycofano te żądania zwrotu rzekomo wydanych na nas pieniędzy.

Artur Kłus: Panie Ryszardzie, wspominał Pan, że było 10 rodzin polskich w całym kołchozie.

Ryszard Bartoszewicz: Tak.

Artur Kłus: Ale łącznie ten kołchoz to ile było rodzin? Jak licznie zamieszkały?

Ryszard Bartoszewicz: Kilkadziesiąt rodzin. Kilkadziesiąt rodzin. Kołchoz składał się z takich czterech linii zabudowań. Jedna linia zabudowy, ulica, oczywiście ulica nie brukowana, tylko normalnie z ziemi. Później kolejny rząd zabudowań. Między drugim a trzecim rzędem płynęła struga, bo na początku... tej wsi był bardzo duży... było bardzo duże źródło czystej wody, więc ta woda wydostawała się, można było widzieć, jak tryska z głębi ziemi. Więc to źródło było obudowane drewnianymi balami. I tam wszyscy chodziliśmy po wodę, bo normalnie to było jedyne źródło.

Tak że kilkadziesiąt rodzin. Czy ten kołchoz przetrwał, co się z nim stało, trudno powiedzieć dzisiaj, ale skoro u nich nastąpiły też te różnego rodzaju zawirowania administracyjno-polityczne, to na pewno polikwidowano kołchozy.

Artur Kłus: Pamięta Pan może takie uroczystości, święta, Wigilię, Wielkanoc?

Ryszard Bartoszewicz: Więc to był okres, okres smuty. Pierwsze Święta to jeszcze w 1941 roku. Wszyscy żyliśmy. Rodzina starała się, żeby te Święta wyglądały podobnie, chociaż wiadomo było, że brak było wszystkiego. A z roku na rok to było coraz gorzej. Ale co charakterystyczne, że nikt nigdy z Polaków nie wątpił, że wróci do kraju. To było jedyne wielkie marzenie.

Artur Kłus: Jak przyszła ta informacja, że wojna się skończyła, to Polacy domagali się właśnie głośno tego, jakby pytali, kiedy możliwy jest powrót do Polski?

Ryszard Bartoszewicz: To znaczy, między Polakami toczyły się tego rodzaju dyskusje, ale to w formie przypuszczającej, że być może, bo jakieś informacje docierały pocztą pantoflową, co się w tym kierunku robi. Wiedzieliśmy o istnieniu Związku Patriotów Polskich, mimo że dzisiaj władza polityczna ten związek określa jako twór komunistyczny czy bolszewicki, ale jednak dla zesłańców to było przedstawicielstwo narodu polskiego, władzy polskiej. Wówczas nie dyskutowano na tematy polityczne w takim zakresie, jak to później. Polska była Polską.

Artur Kłus: W jaki sposób Polacy domagali się powrotu do Polski od władzy sowieckiej?

Ryszard Bartoszewicz: Więc tam na miejscu trudno było od tych przedstawicieli się czegokolwiek domagać, bo to nie leżało w interesie. Nie mieli takiej kompetencji, żadnej kompetencji nie mieli w stosunku do nas, żeby nas wywieźć gdziekolwiek. Po prostu byliśmy, trwaliśmy i to była taka codzienność.

Artur Kłus: Panie Ryszardzie, jak wrócił Pan do Polski jako 11-, 12-letni chłopiec, to jaki obraz Polski Pan zastał? Jak wyglądała ta powojenna Polska?

Ryszard Bartoszewicz: Więc dotarliśmy do Brześcia, kwiecień 1946 rok. Z Brześcia przetransportowano nas do Białegostoku. Dopiero w Białymstoku widzieliśmy ruiny miasta, bo zakwaterowano nas w takiej dzielnicy zniszczonej. I tam przebywaliśmy przez kilka dni, zanim przewieziono do Augustowa. I pamiętam podróż z Białegostoku do Augustowa. Wówczas, pamiętam, usłyszałem słowo „bandy” i mieliśmy próbę działania takiej bandy, oczywiście w cudzysłowie, bo wiadomo było, że w tym czasie, 1946 rok, to na terenie Augustowszczyzny działała grupa, która nie akceptowała władzy bolszewickiej, władzy radzieckiej, władzy Rzeczypospolitej Ludowej. I przez tereny, które pokonaliśmy z Białegostoku do Augustowa, to była Puszcza Knyszyńska, więc obawiano się, że zostaniemy zaatakowani. To pamiętam tę jazdę na... maksymalnych prędkościach, żeby jak najdalej, jak najszybciej przejechać te tereny. Więc już wówczas spotkaliśmy się właśnie z tym podziałem na przedstawicieli nowej władzy i przedstawicieli dawnego systemu. I to się cały czas przewijało. Zawsze zadawano mi pytanie, jak to było, jak to się stało, że ty będąc Sybirakiem, dostałeś się do szkoły oficerskiej i zostałem oficerem. Najprawdopodobniej dzięki temu, że nie

każdy widział, że to było coś niewłaściwego. Jak człowiek był wychowany w patriotycznej rodzinie, a patriotyczną rodzinę to od wieków, bo czasami wspominam, że brat dziadka za występowanie przeciwko carowi musiał z Polski uciekać do Stanów Zjednoczonych i tam pozostał. Straciliśmy kontakt z nim. I wielu takich przypadków. Patriotyzm mojego dziadka polegał na tym, że wspomagał Armię Polską w 1939 roku. Moi dwaj ci wujkowie Zygmunt i Witold w 1939 roku brali udział już jako żołnierze rezerwy, jeden pod Częstochową, a drugi w obronie Zamku Królewskiego. Tak że jeżeli się od maleńkości wpaja patriotyzm, to ten patriotyzm pozostanie na zawsze. O czym wiedzą wszyscy – i wrogowie, i zaprzyjaźnieni. Nie ucząc historii, nie uczy się o faktach, nie uczy się o przyczynach klęski czy też sukcesów, a to jest bardzo wygodne. Tak pomyślałem, jaka korzyść będzie z tego naszego spotkania, z tej mojej relacji, którą składam po tylu latach, bo mając 87 lat, patrzy się na to inaczej, pamięta się też inaczej niż w pierwszych latach. Ale odpowiedni zapas informacji, wiedzy wykorzystany przez mądrych ludzi przynosi owoce, czego doświadczamy i dzisiaj na wielu kierunkach.

Artur Kłus: Panie Ryszardzie, znajdujemy się w Gdyni, to od którego roku tutaj Pan mieszka?

Ryszard Bartoszewicz: Od 1958 roku. Po skończeniu, jak mówiłem, podchorążówki zostałem skierowany do marynarki, kończąc techniczną szkołę, byłem zatrudniony w służbach technicznych, tak że... studia później skończyłem też w ramach uczelni WAT-owskiej na kierunku technicznym i zajmowałem się sprawami technicznymi.

Artur Kłus: A jak Pan wspomina właśnie pracę w strukturach Marynarki Wojennej tutaj w Gdyni?

Ryszard Bartoszewicz: Jak się okazało, w marynarce służyło w tym czasie sporo oficerów, którzy mieli podobne losy, z tym, że w innych rejonach, no bo byli wywożeni Polacy od lutego 1940 roku do 1941 z tego, co ja wiem. Cztery takie zasadnicze wywózki. Ale nikt się tym specjalnie nie chwalił, bo jak mówiłem poprzednio, nie należało to do sfery, którą należałoby podkreślać, szczycić się, chwalić i uważać za coś wyjątkowego. Oczywiście sam fakt jest wyjątkowy, bo zdaję sobie z tego sprawę, czym by się mogło zakończyć życie moje, mojej rodziny, gdyby nasz batuszka Stalin nie ratował wywózką na Syberię. Bo przecież można to tak sądzić, że dzięki Stalinowi uratowano nas od śmierci z rąk hitlerowców. Może zrobiłem błąd, ale nie wiedziałem o tym. Gdyby wcześniej na te tematy była mowa, to przeniósłbym swój tzw. udział z Koła Sybirackiego w Augustowie do Koła tutaj w Marynarce, bo takowe Koło wiem, że istnieje. Pozostały na pewno resztki, bo lata robią swoje. W tym roku 5 stycznia zmarł mój zaprzyjaźniony profesor Mieczysław Szostakowski, który też kończył WAT i był pracownikiem naukowym WAT-u. Sybirak. Także on był w innym rejonie. Więc po całym terenie Związku Radzieckiego, nie wiem, czy jest sporządzona mapa. Ja wymieniając Nowokursk, Sabinkę, Bieje, Abakan, wspominałem między innymi po to, żeby ewentualnie, jeżeli nie są naniesione na jakąś mapę miejscowości, gdzie deportowano Polaków, to żeby uaktualnić, bo już jak zabraknie nas wszystkich, to mogą być te źródła nieuzupełnione. Jak patrzę dzisiaj na porzucony chleb, na grymasy młodzieży, że tego nie lubi, tego nie je, to ja mówię, że „Sybirek ci potrzebny”. Sybirek to znaczy Sybir i te niedostatki, które przeżywalismy. Więc nie sposób wyobrazić, żeby rzucić chleb, nie uszanować, jak przez 3 lata człowiek tego chleba nie doświadczał. Życie w luksusowych warunkach to tylko dla mądrego człowieka, dla rozważnego, dla ustabilizowanego jest wskazane, bo normalnie to jest powodem różnego rodzaju anomalii. Tak że... Tyle bym ewentualnie z mojej relacji na koniec mojego życia przekazuję Panom.

Artur Kłus: Za co bardzo dziękujemy. Jeszcze mogę w ramach, tak na zakończenie zapytać się: Jak też Panu się żyło, żyje tutaj właśnie na Pomorzu, w tych latach nawet 80-tych, 70-tych. Jak to życie takie tutaj na Pomorzu Pan wspomina?

Ryszard Bartoszewicz: Żyło mi się nie najgorzej. W środowisku zawodowym miałem ludzi na poziomie. Potrafili oddzielić dobro od zła, chociaż różnie to bywało w określonych przypadkach. Zdarzali się, tak jak i kiedyś, odszczerpieńcy od ogólnie przyjętych norm i zasad, ale generalnie rzecz biorąc, mogę powiedzieć, że mogło być gorzej, chociaż również i mogło być lepiej. Gdyby nie ten okres syberyjski, to pewno inaczej by się człowiek znalazł na początku drogi, a te niedostatki życia codziennego sprawiają zawsze zahamowania, zawsze odwracają od rzeczy zasadniczych. Dożyłem do emerytury, zaraz ją skoryguję, bo czy to był 1991 czy 1993. Jeżeli się żyje na normalnych zasadach, nie podskakując pod żadnym względem, no to żyje się w miarę spokojnie, jeżeli to zdrowie dopisze. A na to, jakie się ma zdrowie, to wpływ ma okres dzieciństwa bardzo znaczny. Dzisiaj na nic nie mogę narzekać z wyjątkiem zdrowia, bo otrzymuję emeryturę, żyje mi się spokojnie. Człowiek się musiał pogodzić z wieloma rzeczami, z jakimś niepowodzeniem życiowym, ale to jak w każdym przypadku bywa. Chciałbym, żeby tereny, na których przebywaliśmy podczas tej deportacji, zwłaszcza w tej dierewni Nowokursk, ktoś się zjawił i popatrzył na to z perspektywy wielu lat później. Chciałbym, żeby te informacje zebrane, a przecież tego w skali kraju to są tysiące chyba zapisanych kartek i niezliczona liczba nagrań, trafiły do młodzieży, żeby z tego potrafiła wyciągnąć jakieś wnioski dla swojego codziennego bytowania, postępowania. I żeby nie zatraciła polskości. A jak obserwuję dzisiejsze zachowania niektórych środowisk, którym zależy na tym, żeby pozbawić polską młodzież tych zasad. Co jest ciekawe – nie wiem, czy słuszna uwaga, że ci wszyscy, którzy mieszkają w strefie tzw. wschodniej, mają inny stosunek do Bolszewii, ja tak ich nazywam, niż ci ze strefy zachodniej. Chociaż strefa zachodnia to w zasadzie przesiedleńcy z terenów dawnej Rzeczypospolitej. Jeżeli brać pod uwagę powiedzenie, że takie mamy, że takich mamy obywateli, jak ich mamy wychowanie, no to to, o czym ja myślę, ma ścisły związek z zasadami, które należy wpajać. Mnie historia interesowała od początku, więc podchodzę do tego w sposób może inny niż wielu przeciętnych, dla których nauka historii nie była akurat zaszczerpiona. I to jest wiedza mało pożyteczna, mało pożądana. Ja dziękuję Panom za przybycie, za cierpliwość. Proszę zrozumieć moją niedoskonałość. Mając 87 lat, to mówi się, że to już jest wiek, który obarczony jest wieloma wadami.

Artur Kłus: Ale my dziękujemy za tę ważną relację. Tak że bardzo dziękujemy za to spotkanie.